

Savannah Way

W poprzek północnej Australii, od Oceanu Spokojnego na wysokości lasów tropikalnych Krainy Królowej, poprzez Zatokę Carpentaria aż po Ocean Indyjski, rozciąga się potężna sawanna, dziki jałowy busz. Jałowy w porze suchej. I tylko wtedy legendarny szlak o nazwie Savannah Way staje się przejezdny. Śmiałkom przyjdzie zmierzyć się z długą na trzy i pół tysiąca kilometrów drogą, częściowo asfaltem, chociaż większość czasu pochłona odcinki żwirowe i piaszczyste. Brak wody pitnej, zero infrastruktury pomiędzy odległymi wioskami, brak zasięgu sieci komórkowych, a w rzadko spotykanych rzekach czyhają ludożercze, wygłodniałe w porze suchej krokodyle. Wszędzie roi się od śmiercionośnych pajaków i węży. Zdarza się, że nawet psy polują tu na ludzi. To wszystko na nas czekało.



O ironio, na pustyni nie ma gdzie się zatrzymać, bo albo nie ma nawet najmniejszego skrawka cienia, albo cuchnie tak, że odciewa się oddychać, a co dopiero jeść. Muchy nie dawały nam spokoju. Szukały choćby najmniejszej kropli płynu, a w naszym pocie znajdowały nie tylko wodę – również cenne białko. Podczas jazdy setkami obsiadały nam plecy, wędrowały do oczu, nosa, wlatywały do ust. Zastygły w bezruchu mistrz zen darowałby sobie

po kwadransie. Dla nas trzyminutowy przystanek graniczył z obłędem. Z odsieczą nadjeżdżały pociągi drogowe. Jedyne masa powietrza pchana przez jadącą z naprzeciwka ciężarówkę, niczym fala uderzeniowa, była w stanie zabrać te wstrętne muchy. Wystarczyło w chwili mijania strzepnąć koszulkę i przyspieszyć, co przynosiło przynajmniej chwilową ulgę. Pilnie potrzebowaliśmy ochronnych siatek na głowę.



Nawet dumny orzeł nie pogardził mięsem rozkładającej się kangurzej padliny. Nie usłyszał, jak się zbliżaliśmy i późno zerwał się znad posiłku, dzięki czemu mogliśmy go zobaczyć z bliska. Zatoczył półkole i wylądował na kominie pierwszego budynku, jaki napotkaliśmy od trzystu kilometrów. Kiedyś tu był zajazd, w którym można było się zatrzymać, coś przekąsić, odpocząć od nużącej drogi. Dziś została rozsypująca się rudera, jakby żywcem wyjęta z filmu *Od zmierzchu do świtu* Quentin Tarantino. Oparliśmy rowery o zardzewiałą karoserię spalonego pikapa i weszliśmy do środka. Budynek był tak zdewastowany, jakby klienci co noc walczyli w nim z wampirami.

– Nawet dziur po kulach nie brakuje – odezwał się pierwszy, wskazując na blaszane ściany. – Pamiętasz scenę w filmie z tancerką i wężem? – zapytał po chwili.

– *Of course I remember*²² – odparł Zander. – Wielokrotnie oglądałem tę scenę. Prawie naga Salma Hayek z wielkim pytonem pomiędzy nogami i Tarantino liżący jej stopy, to najlepsza scena *ever!*

²² *Of course...* (ang.) – Oczywiście pamiętam.



– Muchy nie wlatują do środka, chyba jest dla nich zbyt ciemno – dodał po chwili zastanowienia.

– Zostajemy tu na noc? – zapytałem. – Brakuje jedynie Salmy i piwa, choć zdecydowanie bardziej Salmy.

– Lepiej uważaj na swoje sny – odparł Zander. – Wyczekujesz Salmy, a może cię zaskoczyć inna...

Panna Sawanna

Taniec zaczęła niewinnie, jednak pozory zniknęły wraz z pojawieniem się pytona. Nie sposób odwrócić wzroku. Chcę zobaczyć więcej, a ona sprawdza, na co mnie stać. Czy poddam, czy dam jej radę. Robi wrażenie nieokielznanej, nieposkromionej i niebezpiecznej. Zerkam na swoje odbicie w lustrze. Strasznie schudłem, wyraźnie zarysowały mi się kości policzkowe, zapuściłem brodę. Kiedy golilem się po raz ostatni? Panna Sawanna stopniowo podnosi temperaturę. Gorąco jest już zaraz po brzasku. To ona decyduje, kiedy i ile dostanę

wody. Wydaje mi się, że się nawadniam, tymczasem sikam na pomarańczowo. Suszy mnie, kapryśna pannica, wredna suka. Nie czuję się tu bezpiecznie, chcę wyjść z tego pokręconego miejsca, pełnego śladów po kulach. Wszyscy na mnie patrzą jakbym był kawałkiem krwistego befsztyka. Drzwi są zamknięte. Zaryglowane od zewnątrz. Nie ma odwrotu, mogę tylko przeć naprzód, w głąb labiryntu. Nagle pojawiają się tysiące much, które tylko odwracają moją uwagę od prawdziwych niebezpieczeństw czyhających przy wodopoju. Wszystko tutaj chce mnie zabić. Widzę jakieś duże drzwi. Neon nad nimi głosi „Brama Piekła”. Są otwarte. Za nimi, już zupełnie naga, Salma Hayek rzuca mi się w objęcia i całuje namiętnie. Wszystkie udreki znikają jak ręką odjął, nie liczy się nic oprócz jej rozpalonego ciała, wilgotnego pocałunku, ale...

Nagle się przebudziłem. W ustach zamiast posmaku szminki miałem jedynie zgrzytający piach. Zadanie: dotrzeć do kolejnego źródła wody. Inaczej zostaną po mnie tylko łachy i kości, jak po niejednym przede mną.





Krajobraz stawał się coraz bardziej surowy. Zniknęły drzewa, następnie krzewy, w końcu i trawa wsiąkła w czerwony piach. Piach i skały, skały i piach. Tylko ja i Zander w tym krajobrazie stanowiliśmy dowód, że to nadal planeta Ziemia. Była jeszcze droga, która zaprowadziła nas do Cloncurry, ostatniego dużego sklepu przed wjazdem na szutrówkę. Ostatnia okazja do zgromadzenia zapasów na to, co nas dopiero czekało. Udało się nam dostać siatki na muchy. Jedna kosztowała dziesięć dolarów, ale nawet za pięćdziesiąt byśmy je kupili. Prowadząc załadowany rower przez chaszczce na obrzeżach miasteczka, mój kompan pobił rekord złapanych gum. Trzy łatki na przednim kole i dwie na tylnym, a przecież tylko pchał rower! Te opony warte są mniej niż obietnice przedwyborcze. John z Nagrody z całą pewnością krzyknąłby *Fuck this shit!*, a Panna Sawanna tylko roześmiałaby się ptasim głosem.

W Leichardt Falls nie zastaliśmy żadnej infrastruktury, choć miejsce słynie z potężnego rozlewiska rzeki Leichardt i wodospadu. Niestety, ostatnia obfita pora deszczowa miała miejsce pięć pór suchych przed naszym przyjazdem. Dociera-

jąc do tej wyczekiwanej oazy od południa, wjechaliśmy na oficjalny szlak Savannah Way. Zastaliśmy koryto rzeki, ale suche jak pieprz. Całe szczęścia znalazło się parę oczek wodnych. Zostawiliśmy rowery w cieniu drzew i poszliśmy się umyć.

Piaszczysta i wyboista droga dała się nam we znaki. Byliśmy wytrzęsieni, zmęczeni, słabo odżywieni i poirytowani. Przez kilka ostatnich dni jechaliśmy osobno, aby uniknąć niepotrzebnych konfliktów. Rano Zander zwykle był gotowy przede mną, więc ruszał pierwszy, aby potem na mnie poczekać. Tak było w porządku. Zdawałem sobie sprawę, że od rozstania z Klaudią stałem się szorstki i wymagający. Królem cierpliwości nie byłem nigdy. Zander słusznie uznał, że lepiej będzie dać sobie przestrzeń niż dolewać oliwy do ognia. Pływać też poszliśmy osobno. To duży błąd.



Istna oaza na pustyni. Unosząc się na wodzie, słyszałem własne myśli. Około dziesięć metrów nade mną wisiła grań szerokości połowy boiska piłkarskiego. W porze deszczowej woda musi łać się z tej załamanej skały hektolitrami, w wodzie zaś roi się od ludożerców. Krokodyle, pieszczotliwie

zwane *salties*²³, w poszukiwaniu pożywienia zapędzają się do dwustu pięćdziesięciu kilometrów w głąb łądu. To miejsce znajdowało się sto kilometrów od brzegu i w porze suchej powinno być bezpieczne, bo wszystkie słonki wycofują się do zatoki. Oczywiście tylko w teorii. W praktyce co roku ktoś wpada na takiego, co się ostał. Z reguły nie są to przyjemne spotkania.

– Taki słonek ma ponad cztery metry długości i zęby ostre jak brzytwa – powiedział nam sprzedawca na mijanej wcześniej stacji benzynowej. Aby lepiej zademonstrować, jak bardzo ostre były te zęby, szczyrzył się, zapomniawszy najwyraźniej, że własne siekacze gdzieś dawno zgubił.

– Aby ujrzeć słonka za dnia, trzeba mieć odrobinę szczęścia lub nieszczęścia – ciągnął szczyrbaty gawędziarz. – W zależności od przebiegu takiego spotkania. Jakiś czas temu w gazetach opisali historię kobiety, która samotnie wiosłowała przez rzekę. Wielki krokodyl wyrócił jej kajak. Gdy się za nią zabierał, nie mogła uwierzyć, że ze skomplikowanego istnienia w jednej chwili „zredukowano ją do kawałka mięsa”. Jakimś cudem udało jej się wyswobodzić z zabójczego zacisku i wydostać na brzeg. Biegła co sił w nogach, które nie wyglądały najlepiej. Z lewego uda oderwane mięso po prostu zwisało i zahaczała nim o krzaki. Na wierzchu widać było mięśnie, ścięgna, a nawet kości. W kroczu poturbował ją jeszcze gorzej, ale nie miała odwagi tam zajrzeć. To i tak cud, że zachowała przytomność, bo to wszystko trwało bardzo długo i straciła masę krwi. Podarła koszulę, obwiązała nią kończyny tak, aby zatamować krwawienie i szła przez busz, aż znalazła drogę. Twarda z niej babka! Niezła historia, co? – uśmiechnął się, na zakończenie znów racząc nas widokiem braków w uzębieniu²⁴.

²³ *Salties* (ang.) – słonki – krokodyle różańcowe, największy współcześnie żyjący gatunek gadów, mogą żyć zarówno w słonej jak i słodkiej wodzie.

²⁴ Sprzedawca opisał wypadek filozofki i antropolożki Val Plumwood. Refleksje o tym doświadczeniu zawarła w eseju *Being Prey, czyli Bycie zdobyczą*.

Drzewa rzucały długie cienie i muchy, jedna po drugiej, kładły się spać. Zaczęliśmy szykować kolację. Należało zebrać drewno na opał. Było go pod dostatkiem. Zander zbierał patyki po jednej stronie drogi, ja po drugiej, gdy nagle nadjechał stary pickup. Za kierownicą siedział leciwy Aborygen, do złudzenia przypominający hollywoodzkiego aktora Morgana Freemana. Popatrzył na nas, wychudzonych, rozejrzał się, zapewne szukając samochodu, i w końcu zapytał, czy to my jesteśmy tymi śmiałkami, co jadą tędy na rowerach. Zaskoczył nas. Skąd wiedział?

– Widzę przecież ślady waszych opon na poboczu. Nikt przy zdrowych zmysłach nie jeździ tędy rowerem. Czy mogę wam potowarzyszyć chwilę? – zapytał, na co chętnie przystaliśmy. Na frisbee i tak nie mieliśmy ochoty, a wpaść na Morgana Freemana na takim pustkowiu to nie lada fart. niespodziewany gość usiadł obok nas na piachu, popatrzył z zaciekawieniem na wypiekany w ognisku chleb, nabił fajkę tytoniem, zapalił, po czym zaczął opowiadać.

– Wychowałem się niedaleko stąd, w Doomadgee. Zawsze mieliśmy dużo psów. Gdy szliśmy nad rzekę, psy szły z nami. Ojciec i wujowie zabraniali nam wchodzić do wody, szczególnie w niesprawdzonym miejscu. Pierwsze zawsze kapały się psy, choć często nie robiły tego z własnej woli. Ojciec chwycił najślabszego, najmniej przydatnego psa i wrzucił go do wody. Rzucił go najdalej jak potrafił, tam gdzie nie widać było dna. Białe w takim miejscu nie zbliżyłyby się do brzegu, ale my tu jesteśmy dłużej i mamy swoje sztuczki – zarechotał Freeman, pociągnął z fajki, splunął obficie i mówił dalej. – Gdy pies już płynął, wszyscy bacznie obserwowaliśmy rzekę. Ledwo pies dotarł do brzegu i się otrzepał, a już leciał na powrót do rzeki. Zawsze co najmniej trzy razy. Ojciec mówił, że za pierwszym razem krokodyl tylko zauważa ofiarę, za drugim pod pływa, a za trzecim... – Freeman, zamiast skończyć zdanie, długo pociągał z fajki. – Straciliśmy w ten sposób mnóstwo psów...

Aborygen opowiadając gestykulował, napelniał fajkę tytoniem, a potem opróżnił ją z popiołu. Robił to wszystko jedną

ręką. Zauważyłem, że z lewej, opartej na stopach ręki, nie robi żadnego użytku. Pojąłem, że ma niedowład całego ramienia i zapytałem go o przyczynę.

– Krowa mnie kopnęła – odpowiedział.

– Oddałeś jej? – zażartowałem, mając nadzieję, że go nie obrażam.

– Nie, ale ją zjadłem! – głośno się roześmiał.

– Co z rzekami na naszej drodze? – zapytaliśmy niemal jednocześnie.

– W następnej możecie wejść do pasa tam, gdzie widać dno. Do kolejnej nie wchodźcie. Bądźcie ostrożni nawet przy napełnianiu butelek, najlepiej podchodźcie do brzegu we dwóch. Krokodyl widzi jednego człowieka, podpływa, widzi dwóch, jest onieśmielony i zwleka. Uważajcie na siebie i nie jedźcie po zmierzchu – instruował nas przybysz, wskazując na nasze jednoślady. – Przed wami Hell's Gate²⁵, to oznacza złe duchy, agresywne bawoły. Nigdy nie widziały rowerów. Gdy tylko poczują się nieswojo, ruszą na was – ostrzegł nas na koniec, po czym wstał, otrzepał spodnie z piachu i się pożegnał.

Wsiadł do wiekowej toyoty, osiem zasłużonych cylindrów brutalnie przerwało niebiańską ciszę i już ruszał, gdy przypomniał sobie coś jeszcze.

– W tym oczku wodnym, w którym pływaliście, ostatnio widziałem trzy rekiny wielkogłowe²⁶. Wprawdzie niewielkie, ale z pewnością głodne, bo wszystkie ryby już zjadły. Macie szczęście, chłopaki. A czy wiecie, że za wami jest jeszcze jeden rowerzysta?

Zostawił nas przerażonych pierwszą, a zaskoczonych ostatnią informacją. Dźwięk silnika dochodził do naszych uszu jeszcze długo po tym, jak światła toyoty zatoneły w ciemności. Niesamowity kraj. Tutaj wszystko, na każdym kroku, usiłuje człowieka zabić. Jeżeli w tej dziczy obowiązuje jakiegokolwiek prawo, to brzmi ono: „pożeraj lub zostań pożartym”.

²⁵ Hell's Gate (ang.) – Brama Piekieł.

²⁶ Żarłacz wielkogłowy (lub tępagłowy) – drapieżny rekin żyjący w ciepłych i płytkich wodach wzdłuż morskich wybrzeży i rzek. Znany z agresywnej natury, uważany za jeden z najbardziej niebezpiecznych gatunków rekina.

Pamiętnik Zandera

Hell's Gate

July 7th, 2015

Od czasu gdy Stuart nauczył nas piec damper, pieczemy go co drugi dzień. Smakuje tak sobie, ale ratuje nam niejedną porcję. Dan trochę przerobił przepis i dodaje do niego owoce, suszone owoce, zioła. Na śniadanie zwykle jemy owsiankę na mleku (z proszku), z kakao, bananami i orzechami. Na kolację ryż z fasolą lub makaron z tuńczykiem. W czasie jazdy (sześć do ośmiu godzin każdego dnia) damper upieczony poprzedniego wieczoru, posmarowany grubą warstwą masła orzechowego. Tłustym masłem orzechowym smarujemy resztę wszystko, nawet banany, ale i tak chudniemy w oczach. Nasza dieta byłaby może OK, gdybyśmy nadal siedzieli przy biurkach w korpo. Ale nie w tej podróży przez rozżarzone piekło! A dotąd wydawało mi się, że najbardziej szaloną rzeczą, jaką zrobiłem w życiu, była przeprowadzka do Polski...



Oddycham, pedałuję i piję. Piję i piję, ale nie sikam. Widocznie piję za mało. Żar leje się z nieba bez litości, a temperaturę podnosi dodatkowo pożar buszu. Dym wisi nisko pomiędzy drzewami – tymi, które przetrwały poprzedni pożar.

Woda! Nareszcie naszą drogę przecięła rzeka! Lub raczej jej pozostałość, bardziej płytki strumień niż rzeka. Rzuciliśmy rowery i, zapominając o krokodylach, położyliśmy się w ubraniach na dnie. Chłodna ciecz przykryła nas całkowicie. Cenna chwila odpoczynku od upału i od upierdliwych australijskich much. Ciężka droga daje o sobie znać w każdym

kawałku zmęczonego ciała. Bolą nas głowy, tyłki i nadgarstki. Znowu bolą mnie kolana i wolę nie myśleć o tym, że przed nami jeszcze ponad tysiąc kilometrów żużlu i piachu. Kończą się zapasy żarcia. Nie mam już prawie tytoniu i bibulek, a od najbliższej miejscowości dzieli nas coś koło 160 kilometrów. Staram się jednak uśmiechać pomimo czarnych myśli. Pocieszam się, że jakoś to będzie. Zawsze jakoś jest.

Wygramoliliśmy się z płytkiej rzeczki, zjedliśmy owsiankę i wsiedliśmy na rowery. Trzeba było znaleźć jakieś miejsce do spania. Krajobraz zaczął się zmieniać. Do tej pory było płasko i ciągle ten sam nudny widok aż po horyzont. Teraz zaczęły pojawiać się skały. Zatrzymaliśmy się w kotlinie zwanej Hell's Gate. Zanim zasnęliśmy, rozmawialiśmy chwilę o tajemniczym typie, który za nami jechał, ale do tej pory się jeszcze nie pokazał. Jestem ciekaw, ale trochę się też boję. Nie wiadomo, co siedzi w głowie kolesia (bo chyba nie babki?), który sam wyrusza w taką morderczą trasę. Czy jest zupełnie normalny?

Dan obudził się kilka godzin przed świtem. Przy śniadaniu rozważał, co właściwie wyrwało go ze snu – zimno czy swąd dymu z palącego się buszu. Gadał i gadał, jak nakręcony. Dan tak ma, że wstaje rano i od razu działa na pełnych obrotach. Ja potrzebuję więcej czasu, żeby dojść do siebie, więc zwykle odzywam się dopiero po śniadaniu, kawie i fajce. Mnie też zaskoczyła różnica temperatur. Nocą włożyłem na siebie kilka warstw ubrań i owinąłem się szczelnie śpiworem, więc przetrwałem do rana. Taka to Hell's Gate. W dzień 36 stopni i ciężko oddychać, a w nocy ledwie siedem kresek na termometrze.

Spakowaliśmy kłamoty i ruszaliśmy już w drogę, gdy nagle kumpel zatrzymał się, wyciągnął notes i naskrobał coś pospiesznie na wyrwanej kartce. Potem położył świstek na dnie wąwozu i docisnął go kamieniem. Na koniec uśmiechnął się do mnie, puścił oko i powiedział, że to wiadomość dla Samotnego Jeźdźca. W porządku, pomyślałem. Niech gość wie, że w tej podróży przez piekło i w swoim

szaleństwie nie jest aż tak samotny. Niestety, nie możemy na niego czekać. Musimy ruszać i znaleźć jakieś miejsce, gdzie uzupełnimy zapasy jedzenia.

Jechałem przodem. Aluminiowy rower nawet z bagażem waży połowę tego, co „czołg” Dana. Kumpel wiezie też dwa razy więcej rzeczy kompletnie nieprzydatnych na sawannie. Prawie nie ma już żarcia, ale za to mamy komputer, dwa ukulele, okulary do pływania, toporne buty nieprzydatne w trasie, a także wagę elektroniczną i łopatkę do sera. Wieziemy też kurtki deszczowe i tropik do namiotu, choć do tej pory nie spadła tu ani jedna kropla deszczu.

Wielką tablicę widać było z daleka. Poza nią był tylko busz. Tablica stanowiła granicę stanów Queensland i Northern Territory. Obróciłem się, by sprawdzić, jak daleko jest Dan. Zamiast niego zobaczyłem watahę dzikich psów dingo. Fuck! Przeraziłem się nie na żarty, myślałem, że serce wyskoczy mi z piersi! Psy jednak nie szły moim śladem, przecięły tylko drogę i zaraz zniknęły w zaroślach. Chwilę potrwało, zanim się uspokoiłem i zacząłem normalnie oddychać. Trochę niepokoiło mnie, że Dan zniknął mi z oczu na tak długo. Może źle się poczuł? Postanowiłem zatrzymać się i poczekać. Patrzyłem na swoje ślady w piachu. Łatwo było poznać po nich, gdzie zatrzymałem się z własnej woli, a gdzie ugrzęzłem. Ciekawe, czy Samotny Jeździec też widzi i czyta te znaki. Czy zauważył cienki bieżnik moich opon, całkowicie nieprzystosowanych do tej nawierzchni? Co sobie o nas myśli? Że ktokolwiek jedzie przed nim, musi być bardzo odważnym człowiekiem? Czy kompletnym pomyłecem? Ciekawe, czy znalazł wiadomość Dana. Może jednak lepiej go nie poznawać? Jeśli my, jadący we dwóch, jesteśmy głupcami, to kim do diabła jest ten gościu jadący tędy w pojedynkę??



Stolica Piekieł

Są na świecie miejsca dostępne tylko okresowo. Można do nich dotrzeć jedynie wówczas, gdy nie pada. Jak tylko Ziemia zatoczy półkole wokół Słońca, przychodzi deszcz. Woda z nieba tworzy potężne rzeki, które odcinają całe połacie lądu. To, co do niedawna było częścią kontynentu, nagle staje się wyspą. „Stolica Piekieł” leży na takiej właśnie okresowej wyspie. Rozsądniejsi omijali to miejsce szerokim łukiem, ale rozsądniejsi nie jechali rowerami. Rozsądniejsi doczepiali do samochodów przyczepy z zapasem żywności, wody, łózkami, różnorakimi wygodami i rozrywkami. W swoich pałacach na kółkach mieli zimne piwo i rześkie powietrze. Tęgi mężczyzna i drobna kobieta w czapce z daszkiem ciągnęli taką właśnie rezydencję. Podczas postoju przyczepa rozsuwała się, pęczniała, zwiększała swój metraż, dodając przestrzeni wnętrzu, w którym brakowało chyba tylko much.

– Och, czyż nie byłoby przyjemnie – westchnąłem rozmarzony – wziąć ciepły prysznic, zmyć z siebie kolejne warstwy czerwonego pyłu, potu, filtru słonecznego i trudu pedałowania przez to odludzie? A potem zjeść stek, napić się zimnego piwa, położyć w wygodnym łóżku i porządnie się wypaść.

– Właśnie taką opcję bym wołał, ale nie przypominam sobie, żebyś ją proponował – zażartował Zander. Podejrzywałem, że na widok pięciogwiazdkowej przyczepy Amerykanina nachodziły myśli podobne do moich.

– Jedziecie do Doomadgee?! – Na twarzy zadającej to pytanie kobiety malowała się groza.

– My właśnie stamtąd wracamy – oznajmił mężczyzna. – To nie jest przyjazne miejsce dla białych ludzi.

– Obrzucili nas tam puszkami i zwyzywali, a jeden z nich nawet mnie opluł – dodała kobieta. Miała przy tym na twarzy taki grymas, jakby przed chwilą zmuszono ją do zjedzenia musztardy z konfiturą. Nie widzieliśmy ich oczu, bo nie zdjęli okularów, mimo że znajdowaliśmy się w cieniu. Uznałem to za najbardziej irytujący zwyczaj ogólnie serdecznych Australijczyków.

– Chyba się tam nie wybieracie? – zapytał mężczyzna.

– Jest nas dwóch – odparł Zander. – Co się może stać?

Mężczyzna uniósł brwi, co dało się zauważyć, mimo że nadal nie zdjął okularów.

– Zostaliście ostrzeżeni – oświadczył, a następnie odpalił toyotę hilux, która zabrała ich wraz z luksusową przyczepą w ceglana dal.

– Ale tak na poważnie, co się może nam stać? – powiedziałem, zastanawiając się, czy jankes wyczuł w moim głosie niepokój.

Pięliśmy się w górę Zatoki Carpentaria, na północ, w stronę równika, gdy powietrze zapłonęło. Musiało się zapalić od pożaru buszu i teraz spływało na nas niczym lawa, kleiło się do wszystkiego, ścigało na nas setki spragnionych much. Nigdy przedtem te owady nie wydawały się tak uciążliwe. W pogoni za kwantem wilgoci bez przerwy wciskały się do oczu, uszu, nosa i ust, nie pozwalając się zdrzemnąć czy spokojnie zjeść. Potrafiły wlecieć pod siatkę. Aby je stamtąd wyciągnąć, należało się zatrzymać, co zwykle przyciągało jeszcze więcej owadów.





Znajdowaliśmy się na granicy sawanny i pustyni. Po niezliczonych termitierach, niektórych wysokością dorównujących nieobecny tu drzewom, można było poznać, że zbliżyliśmy się do Stolicy Piekieł. Wtedy jeszcze nie znaliśmy historii miejscowości o dość upiornej nazwie Doomadgee²⁷.

Wodzowie czterech plemion postanowili założyć wspólną osadę, ale niewykluczone, że już sam ślad śmierci w nazwie sprowadził na wioskę klątwę, bo plemiona nie potrafiły się ze sobą dogadać. Cierpeli wszyscy, mieszkańcy i przyjezdni. Przy potwornościach, jakie zdarzają się w Doomadgee zostać oplotym jest zdarzeniem niewartym wzmianki, a co dopiero zapamiętania. Rabunki, kradzieże, śmiertelne wypadki po pijaku, bójki, rozróby, dewastacje, morderstwa i gwałty. Nie dalej jak kilka tygodni przed naszym przyjazdem przywieziono do szpitala pewną nauczycielkę. Przyjechała z Melbourne, świeżo po studiach, pełna wiary w lepszy świat, ambitna i odważna. Oczywiście biała. Dopadli ją we trzech, gdy wyszła rano pobiegać. Nikt nie słyszał jej krzyków. Byli to licealiści, jej uczniowie.

²⁷ *Doomed* (ang.) – skazany na stracenie. Doomadgee, pierwotnie Dumaji, powstała w 1933 r., ale po trzech latach zniszczył ją cyklon i lokalizację osady zmieniono.

Możliwe, że byśmy sobie odpuścili wizytę w Doomadgee, gdyby nie zaproszenie od Marka, czynnego nauczyciela, który się zatrzymał przy nas, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Z radością przyjęliśmy zaproszenie i odnaleźliśmy kwaterę białych nauczycieli na obrzeżach miściny. Nieszczęśliwie zdziwieni wysokim płotem i kratami w oknach, nasyceni kurczakiem, napojeni piwem, zanurzyliśmy się w błogim poczuciu odpężenia, słuchając opowiadania Marka.



– To, kim jesteśmy, zależy od otoczenia, w jakim się wychowaliśmy – słusznie zauważył pedagog. – Praca nauczycieli nigdzie nie jest łatwa, ale tutaj nasze zadanie niesie ze sobą wyzwania każdego dnia. Niektóre dzieci poza agresją wynoszą z domu bardzo niewiele. W szkole powielają to, czego doświadczają w domu – tłumaczył.

Przytaknąłem ze zrozumieniem, bo w drodze do jego domu zostałem trafiony puszką, na szczęście pustą. Na dobranoc dowiedzieliśmy się, że nazajutrz przypadał dzień wypłaty, co oznaczało, że wszyscy będą pili w trójnasób.

– Lepiej się nie pokazujcie na ulicy – ostrzegął nauczyciel. To właśnie Mark powiedział nam o gwałcie na nauczycielce, która była jego poprzedniczką, zatrudnioną na rocznym kontrakcie, podobnie jak on sam. Usłuchaliśmy jego rady i wyszliśmy dopiero wtedy, gdy tubylcy trochę wytrzeźwieli. Zajrzeliśmy na boisko szkolne, gdzie nasz gospodarz prowadził lekcje gimnastyki. Dzieci uradowały się z naszej wizyty, co było zasługą nie tyle naszą, co frisbee Zandera. Nowa zabawa przyciągała coraz więcej niemożliwych do upilnowania smyków. Podczas gdy dziewczynki zdawały się aniołkami w kolorze hebanu, to chłopcy potrafili nieźle dokazywać. Bili się co chwile, bo przywykli do przemocy. Nadużycia powiązane z alkoholem stanowiły największe przekleństwo tutejszych rodzin.

Conflict with Dan

July 23rd, 2015

Na drodze wyjazdowej z Doomadgee mijaliśmy dziesiątki wraków samochodów. Leżące na dachach, skasowane, niektóre spalone, inne zardzewiałe, opuszczone i rozebrane niemal do ostatniej śrubki. Krajobraz z kupami złomu urozmaicały walające się wszędzie śmieci oraz wielkie kopce termitów. Przygnębiające, prawie tak samo jak wszechobecne trupy kangurów za Longreach.



Wkrótce zjechaliśmy z ubitego traktu na sypkie kamienie, które szybko zmieniły się w grząski piach. Mój rower spisywał się w tych warunkach znacznie gorzej niż Dana. Wąskie opony i cienkie dętki, które bez przerwy pękały. Nabrałem takiej wprawy, że mógłbym wymieniać dętki na czas na jakimś stanowym konkursie! Któregoś razu Dan nie zdążył wypisać wcześniej zaadresowanej kartki i śmiał się, że powinienem zwolnić swój pit stop service, żeby on zdążył naskrobać chociaż trzy zdania. Doradziłem kumplowi, by nauczył się szybciej pisać i śmiałem się razem z nim, chociaż wcale nie było mi do śmiechu. Zużyłem już właściwie cały zapas latek swoich